

Najtrudniejszą z podróży jest ta w głąb siebie

Święta najpyszniejsze, najbardziej uroczyste, najgłośniejsze odbywają się w Cuzco (Peru) - **Jacek Pałkiewicz**, eksplorator, autor książek podróżniczych, opowiada o swoim zmartwychwstaniu, podróżach i jedynych wakacjach z żoną

Rozmowa

Anita Czupryn

a.czupryn@polskatimes.pl

Skąd Pan teraz wrócił i dokąd znów się wybiera?

(*śmiech*) Racja, na dobrą sprawę całe życie jestem w podróży. Zacząłem podróżować w 1972 r. i to stało się moim stylem życia. A gdzie byłem ostatnio? Niedawno wróciłem z małżonką z pierwszych prawdziwych, wspólnych wakacji.

Jak to? Po 30 latach małżeństwa!

W 30. rocznicę ślubu, a było to siedem lat temu, obiecałem żonie, że pojedziemy na miesiąc na wakacje życia. Nie pojechaliśmy. Lata mijały, nadeszła 37. rocznica ślubu. Przychodzę do domu i w oczy rzuca mi się wielki bukiet kwiatów. Jak zwykle nie pamiętałem o rocznicy. Przy bukietcie zobaczyłem wizytówkę ze słowami: „Dla siebie samej, z szacunkiem, w 37. rocznicę ślubu. Linda”.

Wspaniały pomysł! Nie oglądać się na męża, tylko samej sobie kupić kwiaty.

Tak. W tym momencie pomyślałem sobie: „Basta. Wystarczy. Przesadziłem”. I pojechaliśmy. W dwa tygodnie wszystko przygotowałem. To była niespodzianka - w dzień wylotu przyjechała po nas limuzyna, która zawiozła nas na lotnisko. Priorytetowe przejścia dla VIP-ów, klasa biznes w samolocie. Poleciliśmy do Szanghaju, gdzie nasz syn mieszka od sześciu lat. Nie lubię wielkich miast, ale Szanghaj polubiłem. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Ostatni raz byłem tam 22 lata temu, nie poznawałem dzielnic, jakie wyrosły - jak na Manhattanie. Zatrzymaliśmy się na dłużej i pobyt był w cieniu pięciu gwiazdek. Ale pięć gwiazdek okazało się za mało, więc poleciliśmy dalej - na Bali. Moja żona Linda była pierwszy raz w świecie tej turystycznej egzotyki. Dla mnie też na początek to było miłe, ale niedługo. Ten aspekt turystyczny to nie do końca mój chleb. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Dubaju, w najwyższym hotelu świata. Dostaliśmy apartament na 51. piętrze, z którego widzieliśmy całą panoramę. To już nie było pięć gwiazdek, a siedem. Wszystko kapła złotem. Dla kobiety taki czas jest jak święto. Takie mieliśmy wakacje.

Miesiąc życia w luksusie.

Przed wszystkim odpokutowałem za moje grzechy i wyrównałem rachunki. Ta-

kim poziomem wakacji można sobie te grzechy wybaczyć. Wróciliśmy do domu we Włoszech, skąd na dwa dni wyskoczyłem na Kamczatkę. Co oznacza dziewięć godzin drogi samolotem z Moskwy.

Jest Pan niezmordowany!

Poleciałem, bo w ubiegłym roku prowadziłem ekspedycję szlakiem polskich badaczy Syberii i chciałem odświeżyć pamięć Benedykta Dybowskiego, którego w Polsce mało znają, w Rosji zresztą też nie, chociaż można tam spotkać nazwy geograficzne polskich badaczy. Przyjmował mnie wtedy gubernator, minister kultury, turystyki i przedstawiciel MSZ z Moskwy. Gubernator przygotował się do rozmowy o Dybowskim, to było widać. Mówię więc o jego zasługach, o tym, ile Dybowski dla tej ziemi zrobił, dlaczego by więc nie mógł mieć tu swojej tablicy pamiątkowej? A muszę przy tej okazji przypomnieć moje spotkanie z polskim konsulem generalnym w Irkucku, który mówił mi: - Panie Jacku, myśmy o to walczyli wiele lat. Nie ma pan szans. A tu gubernator popatrzył po twarzach i mówi: - Nie widzę problemu. Czując, że atmosfera jest przychylna, ciągnę dalej: - U was ciągle nowe dzielnice powstają, miasto Pietropawłowsk się rozrasta, może jakiejś ulicy w nowej dzielnicy nada-



► Jacek Pałkiewicz pustynię Gobi przebył na wielbłądach, w tradycyjnym stylu. Takie podróże naj-

cie imię Dybowskiego? Gubernator również nie widzi kłopotu. No, to na koniec, spontanicznie wpadłem na jeszcze jeden pomysł: - A dlaczego by nie zrobić dużego multimedialnego konkursu na temat wiedzy o Dybowskim? Zaangażować media, ja funduję główną nagrodę - wycieczkę do Polski. Dla ludzi mieszkających na Kamczatce wyjazd do Polski to jak dla Polaka pojechać na wyspy Bora-Bora.

Zgodzili się?

Oczywiście. Tylko że ja w tym momencie pomyślałem, ile mnie to będzie kosztowało? (*śmiech*) Nie miałem żadnego sponsora. Potem zaangażowało się w to Narodowe Centrum Kultury. Konkurs przeprowadzono, wygrała kobieta, poproszono mnie więc, żebym przyjechał wręczyć na-

grode. Kosztowało mnie to dwa dni podróży w tę i z powrotem. Notabene, laureatka przyjechała do Polski tydzień temu. Pierwszy raz była za granicą, zachwycona Polską, Warszawą, ludźmi. Chcę podkreślić, że w sytuacji, kiedy na górze politycy się przepychają, grożą wojną, tworzą napięcia, zwyczajni ludzie mają ze sobą kontakt normalny, czysty, otwarty.

Chce Pan nieskromnie powiedzieć, że gdyby więcej było takich Jacków Pałkiewiczów, to tych wojen na górze by nie było? Przy okazji zapytam, czy nadal chce Pan zrzec się polskiego obywatelstwa? Takie informacje pojawiły się jakiś czas temu w mediach, gdy okazało się, że znów odrzucono wniosek o przyznanie Panu Orderu Odrodzenia Polski za szkolenie sowieckiego specnazu.

Ukłuło mnie to bardzo i moja reakcja była nazbyt emocjonalna. Ale kiedy myślę o tym na spokojnie, to chyba wtedy zapyskowałem niepotrzebnie, za mocno. Choć poczułem się dotknięty. Nie chodzi o to, że oczekuję odznaczeń i medali za swoje działania, ale powód, dla którego odrzucono trzy wnioski - że pracowałem dla sowieckiego specnazu - jest bzdurą. Nie pracowałem prywatnie, ale wszystko było załatwiane przez polskiego ministra spraw wewnętrznych z Rosjanami, nie było to w Związku Sowieckim, a w Rosji, bo szkolenia odbywały się w 1998 r. Sowietci nie mają z tym nic wspólnego. Wie pani doskonale, że jeździł tam ze mną i chłopcy z GROM, policji, straży granicznej, byli Rosjanie, ale były też grupy z różnych krajów, to było szkolenie międzynarodowe. Potrzeba wyniknęła z zagrożenia terroryzmem. Wtedy nie było jeszcze Iraku, nie było Afganistanu, a żołnierz bez wojny niewielką ma wartość. Te doświadczenia, które wtedy zdobywali, były pierwszymi. Wracając do wniosków o odznaczenie dla mnie - ci, co je widzieli, komentowali, że na podstawie dokumentacji medalami można by obdzielić troje ludzi. Ale ja trochę przesadziłem z emocjonalnością. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że Pałkiewicz za nic ma Polskę i patriotyzm. Wystarczy zobaczyć, co robię - ile ubiegłoroczna wyprawa na Syberię



► Borneo najlepiej eksplorować pirogą. Tak robią to mieszkańcy tych ziem, tak robił Jacek Pałkiewicz



FOT. BARBIEK STRA, ARCHIWUM JAKCA PAKRIEWICZA

ardziej mu odpowiadają, nie lubi turystycznych udogodnień. Tylko tam można poznać jakiś obszar świata

przyniosła echa, publikacji w Rosji. I nie mówiu tu o podwórkowych, lokalnych gazetach, ale o centralnych mediach.

Myśli Pan, że w obecnej sytuacji geopolitycznej taka wyprawa na Syberię z Polski byłaby możliwa?

Dla mnie byłaby możliwa. Nie jestem z nikim związany politycznie. Jestem daleki od tych wszystkich przepychanek. Ubiegłoroczna wyprawa otrzymała patronat ministra kultury, ale już minister Sikorski nie chciał głowy nadstawiać. Zrzucił to na ambasadora polskiego w Moskwie, który patronat dał. Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz zrzucił to na sejmową Komisję Zagraniczną. Podziękowałem. Potem, w rozmowie z ludźmi, którzy siedzą w polityce, usłyszałem, że nikt nie podpisze współpracy ze mną w tej sprawie, bo nie chce stracić 30 proc. swojego elektoratu. Po powrocie chciałem pokazać ministrowi Zdrowia dossier - ponad setkę publikacji o tej wyprawie, podziękować za opiekę i flagę polską, jaką mi powierzył. Nie znalazł już dla mnie czasu. Oczywiście, dzisiaj żadnego patronatu bym nie dostał, przygotowywałbym wyprawę sam. I kto wie, może miałbym więcej satysfakcji, bo uzyskałbym to samo, a nie musiałbym podierać się oficjalami.

Wróćmy do podróży. Ciekawa jestem Pana Wielkanocy przeżyte gdzieś z dala od Polski. Na Wyspach Wielkanocnych?

Nie, nie. Na Wyspach Wielkanocnych byłem w czasie, gdzie ruch turystyczny jeszcze tam nie istniał, ale sama nazwa niewiele ma z Wielkanocą wspólnego. Na pewno wielkim przeżyciem była dla mnie Wielkanoc w Peru. Święta najpyszniesze, najbardziej uroczyste, najgłośniejsze odbywają się w Cuzco. Spędziłem tam kilka dni, począwszy od Wielkiego Czwartku, kiedy trwały przygotowania, kiedy drogę na procesję wysiela się kwiatami. W Wielki Piątek odbywa się inscenizacja drogi krzyżowej, niezwykle spektakularna, bez porównania z tym, jak to jest w Polsce czy Europie. Istnienie tam ciekawy obyczaj, bo w Wielki Piątek podaje się 12 dań. Kaszę z kukurydzy

na słodko albo na słono, z kawałkiem kurczaka, w liściach kukurydzy gotowanych na parze, więprzowinę z miódem, jeżor bawoli w sosie pomidorowym, słodczyce. W Wielką Sobotę zaczyna się orgia weselności, tańców, śpiewów, niezwykłych kolorów, strzelania petard. Święta kończą się w niedzielę, Peruwińczycy nie obchodzą święta w poniedziałek, nie ma dyngusa. Rzuciło mi się jednak w oczy to, że nie było jajek. Ale ta atmosfera wielkiej uroczystości, weselności była niezwykła. Ameryka Południowa żyje w rytmie radości. U nas więcej chłodem i smutkiem, nawet gdy Jezus zmarł w twych wstaje. Jako ciekawostkę powiem, że w Andach, w opuszczonych osadach daleko od cywilizacji czas ukrzyżowania Chrystusa traktują jako bezgrzeszne dni. Boga nie ma, bo umarł, nikt więc nie widzi, co oni robią. Mają trzy dni luzu, mogą sobie wypić, nie ma ograniczeń. Pan Bóg nie widzi, to wszystko można.

Gdzie Pan przeżył swoje osobiste zmartwychwstanie i narodził się na nowo?

Myślę, że podczas mojej samotnej wyprawy przez Atlantyk. Doświadczylem tam trzech dni walki o życie w czasie sztormu. Woda nieustannie zalewała łódź ratunkową, wylewałem, bez spania, bez jedzenia. Dziś sam do końca nie rozumiem tego, co się wtedy wydarzyło. Czy to była prawda, czy może mi się śniło? Tak to dziś wydaje się nierealne. Ale pamiętam te myśli, jakie do mnie przychodziły, że to już koniec, że nikt mnie nie uratuje. Jednak celem tej wyprawy było pokazanie, że jeśli rozbił się nie podda, to się uratuje. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić do siebie myśli o tym, że się poddam. Robiłem rachunek: gdzie byłem, co widziałem, co przeżyłem. Przecież mam dopiero trzydzieści parę lat. Cholera, żeby tak jeszcze przynajmniej rok, pięć, dziesięć lat. Ten apetyt, ten głód były we mnie. No i równoległe przychodziły myśli, że mam rodzinę, nie chcę robić im krzywdy swoim egoistycznym posunięciem. Były też modlitwy do Boga o pomoc, przyrzeczenia, co zrobisz, jak z tego wyjdzie żywy. Niestety, pamięć ludzka jest krótka i o przyrzeczeniach szybko się zapomina (*śmiech*), tak więc cią-

gle mam dług. Ale nie poddałem się. To spowodowało, że urodziłem się na nowo. Jako człowiek dużo silniejszy psychicznie, który zdał sobie sprawę, że jeśli tam się nie zламаł, to w życiu codziennym nic go nie zламаł. Ludzkie narzekania, zwykłe problemy, że kolejki, brak miejsca na parking czy nawet większe kłopoty, mają dla mnie mniejszy ciężar niż dla przeciętnego człowieka. Te narodziny dały mi nową jakość i dały też nazwisko.

Ktoś powtórzył Pana wyczyn?

Tego rodzaju wyprawy łodzią ratunkową nie było. Ale były inne, ekstremalne, kajakami, jachtami. Moja odbiła się szerokim echem. To była epoka samotnych żeglarzy, ale na jachtach wyposażonych w sekstant, autopilota. Ja miałem tylko kompas, bez sekstantu i oczywiście bez GPS, bo wtedy nikt nie wiedział, że coś takiego będzie.

W innych wyprawach nie było już takich momentów granicznych?

Oczywiście, że takie momenty były, mniej lub bardziej trudne. Kiedy nie chodzi się utartymi szlakami, nie zna się terenu, to zagrożenia są przeróżne. Na przykład kiedy przechodziliśmy Borneo od brzegu do brzegu. Map dokładnych nie było, nawigacja odbywała się na nos. Szliśmy głównie rzekami, po kolana w wodzie i przy rozwidleniu rzeki trzeba było natychmiast decydować - odbijamy w prawo czy w lewo? Posłaliśmy w lewo, a mój nos mówi: „Cholera, czy jednak nie w prawo?”. Nie mogłem sobie, jako lider wyprawy, pozwolić na niepewność i utratę aury, więc przy następnym rozwidleniu posłaliśmy w prawo. Ale śmierć spojrziała mi w oczy po raz drugi - na Syberii.

Na wyprawie na reniferach.

W 1987 r. zmierzaliśmy do bieguna zimna na reniferach. Na rzece zalał się lód, wpadliśmy do wody, renifery nie chciały z niej wyjść, bo była cieplejsza, na zewnątrz minus 40 stopni. To była walka, nie czuło się ani rąk, ani nóg, zamarały. Walczyłem, ale jednym okiem spoglądałem w górę i modliłem się. Wyszliśmy z tej pułapki. A mogło się to skończyć zupełnie inaczej.

Takich momentów nie miał Pan, gdy odwiedził plemię kanibali w Papui Zachodniej?

Mam zasadę, że w odległe, prymitywne miejsca zawsze zabieram worek prezentów. To są rzeczy praktyczne: maczety, noże, garnki, sprząty. Daje, ale chce też coś od mieszkańców w zamian. Tego nauczyli mnie dawno temu misjonarze - żeby nie przyzwyczajając plemię, że daje się coś za darmo. Jesteśmy więc na Nowej Gwincei, wysłałem posłańca dobieć wcześniej, aby do tego plemienia mieszkającego w domach zawieszonych wysoko w konarach drzew doszedł z prezentami i wiadomością, że jutro odwiedzą ich biali. Przychodzimy, już widzę chatki wśród drzew, już jesteśmy blisko, słyszę szczekające psy. Nagle zza zarośli wyskakuje grupa uzbrojona w dzidy, łuki. Pomyślałem: „Ale nam spektakl przygotowali. Szkoda, że nie mam ekipy filmowej, bo taka naturalna scena”. Atmosfera jednak robi się coraz bardziej napięta, wojenna. Wtedy zrozumiałem, że to się dzieje naprawdę. Tłumacz nie rozumiał, wystraszył się nie mniej niż ja i zgłupiał. Powiedziałem mu, że jeśli oni krzyczą, to niech on też krzyczy na nich. Po kilku minutach sytuacja się uspokoiła. Okazało się, że posłańiec niczego nie wskórał. Prezentami powoli rozładowaliśmy atmosferę. Kanibalizm dziś to już historia. Ostatniego białego człowieka zjedzono chyba na początku lat 60., to był syn Rockefellera. Słysza-



W 1987 r. zmierzaliśmy do bieguna zimna na reniferach. Na rzece zalał się lód, wpadliśmy do wody, renifery nie chciały wyjść. Ręce, nogi zamarały. Modliłem się i wyszliśmy z tej pułapki. A mogło się skończyć zupełnie inaczej

Na Saharze w latach 80. chciałem zrobić ekstremalny, bardzo niebezpieczny test - do którego momentu można odwożnić organizm, żeby przeżyć. W pewnym momencie żadna ilość wody nie uratuje już człowieka

łem też o przypadku zjedzenia misjonarza. W ostatnich 15 latach, gdy rozmawiałem o tym z misjonarzami, są zgodni, że zagrożenia dla białego człowieka nie ma. Ale między sobą, w plemiennych wojnach są okrutni i takie przypadki jeszcze się zdarzają. Bardziej jednak kanibalizmem, dla napięcia, próbuje jeszcze grać przemysł turystyczny.

Przyznał Pan kiedyś, że opowiada tylko połowę z tego, co przeżył i spotkał w podróży. Ujawni Pan kiedyś tę drugą połowę niesamowitych opowieści?

Wie pani, dlaczego opowiadam tylko połowę?

To jasne. Dlatego, że już w tę pierwszą niektórym trudno uwierzyć i zarzucają Panu fantazję czy konfabulację. Kiedy jednak ta fantazja okazuje się prawdą, bo ma Pan na to dowody?

Czuje się komfortowo, kiedy mogę coś pokazać palcem, mam zdjęcia i nikt nie rzuci mi kłamstwa. Ale niedawno jedno z wydawnictw poprosiło mnie, abym napisał swoją autobiografię. Chca, abym odkrył swoją duszę. Tu więc ta druga połowa opowieści może się pokazać. Nie chodzi o to, że mam tajemnice. Ale przy wcześniejszych książkach osobistych rzeczy nie mówiłem, nie dzieliłem się wnętrzem. Podobne podejście ma Wojciech Cejrowski.

Chciałbym jednak poprosić Pana o opowiedzenie jednej z tych niesamowitych historii, których nigdy Pan nie opowiadał, bo ludzie mówili, że to niemożliwe.

Najczęściej to są opowieści o tym, że było ciężko, ale człowiek zagryzał zęby - takie sceny niektórzy kwitują, że Pałkiewicz to taki Rambo, heros, co on tam opowiada. Fantazja go ponosi. Ale pamiętam pierwsze lata mojej szkoły przetwarzania, lata 80. Jesteśmy na Saharze. Chciałem zrobić ekstremalny, bardzo niebezpieczny test - do którego momentu można odwożnić organizm, żeby przeżyć. Bo w pewnym momencie już żadna ilość wody nie uratuje człowieka. Na ostatnich kroplach wody dochodzimy do studni. Plan był taki, że tam robimy zapas wody i idziemy do następnej. Kiedy doszliśmy, okazało się, że jest zasypana piaskiem. Nie ma wody. Do następnej - doba marszu. Zdecydowałem, że wszyscy idziemy do tej następnej. W drugiej studni leżało zwierzę. Już z daleka czuć było zapach padłego zwierzęcia. Nie mieliśmy wyboru, nie zdawałem sobie sprawę z zagrożenia picia wody pełnej wirusów i bakterii. Przepuściliśmy ją przez filtry, choć do końca nie było wiadomo, czy one działają. Na szczęście żadnych konsekwencji nie doznaliśmy.

Plakał Pan kiedyś?

Raz. Kiedy Jurek Kukuczka zginął. Wracalem do Polski samolotem, przeczytałem o tym w gazecie. Ezy mi się zakręciły. Byłem z nim na wyprawie, niejednokrotnie zastanawiałem się, czy on nie za mocno ryzykuje.

A Pan nie uważa, że ryzykuje?

Cały czas uważam, że w tej mojej pruskiej organizacji, precyzyjnym planowaniu rozważam tak wiele przeróżnych historii, że teoretycznie nie powinno się zdarzyć nic po drodze. Przewiduję rzeczy nawet nieprzewidywalne. Oczywiście, potem zdarzają się pułapki choćby ze strony samej przyrody, ale dzięki tej organizacji czuję się pewnie.

Wróć do początku naszej rozmowy, gdzie pytałem o następną Pana podróż.

Następna będzie podróż w głąb siebie. Kto wie, czy nie najtrudniejsza. ●